

MIROŚŁAW OLSZYCKI OLSENSIS



ŁODZIER MENSCH

WOLNA ŚMIERĆ

MIROŚŁAW OLSZYCKI OLSENSIS



LODZER MENSCH WOLNA ŚMIERĆ

Redakcja:

Dominika Kawczyńska-Wojtuś

Projekt okładki

Mirosław Olszycki Olsensis

Skład

Bartłomiej Kuc

© Copyright by Mirosław Olszycki Olsensis 2024

Drogi Czytelniku

Książka, którą trzymasz w dłoni, jest efektem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego, grafików i wydawcy. Prosimy, abyś uszanował ich pracę. Nie kopiuj większych fragmentów, nie publikuj ich w internecie. Cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści i podawaj źródło ich pochodzenia.

Dziękujemy.

ISBN 978-83-7729-800-8

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński

90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02

infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms)

www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2024. Wydanie 1

Łodzianom – ku pamięci.

Najbliższym – za miłość!

Miastu Łódź – za wszystko!

Spis treści

| | |
|-------------------------------------|-----------|
| Freitod | 9 |
| 1. Kobieta z Zielonego Rynku | 14 |

Freitod

Bruno Biedermann podszedł do okna swojego gabinetu na piętrze pałacu przy ulicy Franciszkańskiej w Łodzi i spojrzął w kierunku fabryki, lecz nie dostrzegł prawie nic, bo pod koniec stycznia o tej porze na dworze panował już mrok. Padał śnieg. Lampa, którą zapalił, świeciła jasno i pomyślał, że powinien zasłonić okno. Zaciągnął zasłony, odwrócił się w stronę szafy. Kiedy mijał regał z książkami, podłoga zaskrzypiała, a zaraz potem poczuł na policzkach muśnięcie chłodnego powietrza. Spojrzął na drzwi gabinetu, ale nie dobiegał zza nich żaden głos. Cofnął się o krok, potem zrobił krok do przodu. Podłoga zaskrzypiała znowu, lecz już niczego nie poczuł. Otworzył drzwi szafy i wyciągnął z jej wnętrza mundur kapitana wojska polskiego. Założył go na siebie, wygładził, pozapinał guziki. Podszedł do lustra. Przyjrzał się własnej twarzy. „Czy jestem gotowy?” – zapytał w myślach.

Nie był do końca przekonany. Znów zerknął na drzwi z obawą, że ktoś niespodziewanie wejdzie do gabinetu i odkryje, jaka niepewność go ogarnęła w tym miejscu, w którym czuł się zawsze bezpiecznie. Podszedł do biurka i oparł się o blat. Rozpiął guzik marynarki pod szyją, ponieważ zaczął się dusić. „Siedem minut” – pomyślał. Podobno tyle czasu mija, zanim serce topielca przestanie bić. Ogarnął go lęk. Jeśli mowa o tonięciu, to właśnie on teraz opadał na dno. Próbował złapać oddech, ale lodowata woda wdzierала się do jego ust, nosa i uszu. Nadchodząca śmierć ścisnęła mu płuca

i wywoływała uczucie, jakby ktoś rozrywał mu ciało od środka. W odbiciu światła lampy zobaczył drobne bąbelki powietrza wydobywające się z miejsca, w którym zaskrzypiała podłoga. Próbował je wessać do ust, ale one oddaliły się od niego jak ostatnie tchnienie. Poczuł ból w piersiach, tracił oddech. Usiadł w fotelu, odchylił głowę, przymknął powieki i zaczął dryfować.

„Lil, najdroższa, co oni ci zrobili?” – zapytał w myślach, czując, że rytm jego serca wyraźnie zwolnił, a kolejne uderzenia następowały po coraz dłuższych przerwach. Przed oczami zaczęły się pojawiać obrazy i zasłyszane dźwięki: najmłodsza córka przed drzwiami, niepokój o jej zdrowie, krwotok z płuc, strach przed wizytą gestapo.

– Kocham cię! – wymawiała z wielkim wysiłkiem najmłodsza córka w przebłyskach świadomości i było już jasne, że stan jej zdrowia należało zaliczyć do beznadziejnych.

– Boisz się? – zadawała pytanie i szybko uzupełniała: – Od strachu groźniejsi są tylko ludzie.

Taka myśl towarzyszyła Brunonowi bezustannie od kilkunastu dni, gdy wyglądał przez okno, gdy szedł ulicą, gdy przebywał w fabryce, gdy był zmuszony pojawić się w niemieckim Rathausie w Łodzi, by zdać relację o stanie zatrudnienia i realizacji planów produkcyjnych dla niemieckiej armii, gdy siedział we własnym gabinecie i sporządzał notatki. Pewnego razu zanotował: *Moje męskie wychowanie, poglądy, poczucie porządku, dyscyplina, cnoty i przywary były kształtowane w duchu tradycji protestanckiej, niemalże prusackiej. Ale nie mogę zapomnieć o tradycji katolickiej, bo przecież mieszkam w Łodzi, wśród Polaków, oni także mają wpływ na kształt mojego charakteru.*

Tak, bał się, nawet bardzo się bał. Cały ten porządek, któremu był posłuszny od dzieciństwa, dyscyplina nie pozwalały mu pogodzić się z nadchodzącymi zmianami, przyszłością pełną niewiadomych. Drżał o siebie, a w ostatnich dniach drżał podwójnie o własną rodzinę, a szczególnie o młodszą córkę.

– Ojczy, przepraszam – szepnęła któregoś dnia Lil.

– Za co mnie przepraszasz?

– Że ściągnęłam na nasz dom tyle nieszczęścia.

– Nie przejmuj się. – Spojrzał z miłością na córkę i usiadł na brzegu łóżka. – Tylko ludzie bez szczególnej osobowości, bez zdecydowanego charakteru, bez wstrząsów w życiorysie nie są w stanie żyć w zgodzie ze swoim sumieniem. Ty postąpiłaś słusznie.

Pogłaskała dziewczynę po twarzy, uśmiechnął się do niej czule. Lil odwzajemniła uśmiech, ale w tym samym momencie zaniósła się gwałtownym kaszlem. Podał jej lekarstwo.

Od tego czasu minęło kilka dni. Armia niemiecka przegrała bitwę o Łódź, wycofała się, ustąpiła miejsca wojskom radzieckim. Biedermannowie, podobnie jak inni Niemcy z Łodzi, otrzymali rozkaz natychmiastowego opuszczenia domu. Dostali na to godzinę.

Siedząc przy biurku, poczuł duszności i wyobraził sobie, że połknął haczyk na ryby, który utkwił gdzieś głęboko w jego klatce piersiowej i teraz ktoś pociąga mocno za żyłkę, szarpie nią na wszystkie strony, znęca się nad nim, zamiast wypuścić na wolność. Nie potrafił się wyzwolić. Haczyk wtapiał się w jego wnętrze coraz głębiej, rozrywał płuca, zatykał gardło

i nozdrza. Rozpiął kolejny guzik pod szyją, ale ból był tak silny, że zaczął mdleć.

– Jestem słaby, bardzo słaby – wyrzeźił. Ból nieco ustąpił. „Czy jestem w stanie przekuć moją słabość w siłę? Stać się oparciem?” – pytał w myślach. Bo przecież jak we wszystkich ludziach każdy wstrząs, każdy ból, każda niepomyślna sytuacja życiowa natychmiast budziły chęć ucieczki w śmierć. Jednak on stworzył we własnym umyśle filozoficzną skłonność służącą życiu. To właśnie ta filozofia odrzucała oswajanie się z myślą o wyjściu zapasowym, które w gruncie rzeczy stawalo się jego obsesją, odkąd stracił nadzieję. Miotaly nim uczucia. Czasami dochodził do wniosku, że to wyjście zapasowe jest wyjściem najbardziej nędznym z nędznych, nielegalnym, podłym i tymczasowym. Bo w rzeczywistości takim było, jednak złe sumienie, owa niepoprawna szlachetność, nakazywało mu pokonać słabości i uczynić z nich siłę.

W pewnym momencie poczuł się wolny, odeszły bóle, przestało go zatykać w płucach. Przetarł czoło rękawem marynarki, spojrzal na zegarek, wyrwał kartkę z notesu i zaczął pisać: *Zabiłem strzałami z rewolweru żonę i córkę. Pochowajcie nas w ogrodzie. Nie rabować naszego prywatnego majątku w mieszkaniu, a podzielić sprawiedliwie, godz. 16.*

Bruno Biedermann zapiał guziki w mundurze pod samą szyję, otworzył szufladę biurka, wyciągnął rewolwer, wstał i ruszył do pokoju, w którym leżała Lil. Spała. Wszedł ostrożnie do środka. Na krawędzi łóżka siedziała Luiza, jego żona. Spojrzała na niego zrozpaczonym wzrokiem, była o wszystkim powiadomiona. Ścisnął jej dłoń.

– Kocham cię! – rzekł cicho.

– Ja również ciebie kocham – odpowiedziała. Na jej policzkach pojawiły się łzy.

1. Kobieta z Zielonego Rynku

Pchał wózek ulicą niczym życie całe i najwyraźniej sprawiało mu to wielką przykrość. Gdzieś w okolicy fabryki Poznańskich zatrzymał się, zdjął czapkę i otarł spocone czoło dłonią. Zacerpnął powietrza, a potem, ściskając wymęczoną czapkę w dłoni, podparł kamieniem jedno z kół pojazdu. Podszedł do kiosku z gazetami. Pochylił głowę. Zaczął czytać szeptem:

– Spotkanie ministra Becka z kanclerzem Hitlerem. Uzgodnienie poglądów Polski i Niemiec. – Tytuł artykułu na stronie głównej „Kurjera Łódzkiego” wyraźnie go zaciekawił. Zmrużył oczy. „Jakież to stanowisko mogli uzgodnić?” – pomyślał i zaczął się zastanawiać.

– Fajna fanaberia, panie Olszer! Ten niemiecki szajgiec interesy będzie z nami robił, wierzysz pan? – Usłyszał z za pleców męski głos z wyraźnym żydowskim akcentem.

Szewc Abram Piernik stał obok Jana i wskazywał palcem na gazetę. Kiwał przy tym głową na lewo i prawo.

– Rejwach tylko z tego będzie i wielkie mecyje – dodał po chwili. – Nic konkretnego, znam się na tym. – Szewc pokivał głową, pogładził się po długiej, siwej brodzie i spojrzął na Jana. – Ta łódzka, przepraszam, niemiecka ferajna całkiem ma nas gdzieś. Nie uważa pan?

– Nas? – powtórzył zdziwionym głosem Jan.

Piernik złączył obie dłonie i w błagalnym geście skierował je ku górze.

– Broń Panie Boże! Nie miałem na myśli ani pana, ani pana rodziny.

– A kogo?

– Takich jak ja, biednych łódzkich Żydów, miałem na myśli moją Chaikę i moje dzieci. Te starsze już rozumieją, ale te małe, Fajga i Pessa, bawią się jeszcze lalkami. One są szczęśliwe. Ale to minie, prędko minie.

– Że niby co minie?

Szewc zajrzał w oczy Jana, jakby chciał z nich wyczytać, czy ten kpi z niego, czy nic nie rozumie.

– Panie Olszer – rzekł tajemniczo. – Pan codziennie wstajesz skoro świt i codziennie kombinujesz z tym swoim wózkiem, a potem stoisz lub siedzisz na rynku i czekasz, aż ktoś podejdzie i coś od pana kupi... Czyż nie tak?

Jan skinął głową.

– Ja pana obserwuję z mojego okna. Przecież mieszkamy obok siebie, prawdę mówię?

– Jesteśmy sąsiadami.

– Sąsiadami? To mało powiedziane. My jesteśmy jak bracia, bo żyjemy tyle lat pod jednym dachem. To tak, jak byśmy byli jedną rodziną.

– No, prawie.

– Prawie? Nie możemy mówić prawie, bo prawie to jakby nic nie powiedzieć... Pan słyszysz, co się dzieje w moim domu, a ja słyszę, co się dzieje u pana. Przy otwartych oknach słycać wszystko. My żyjemy tym, co słycać u pana, a pan żyjesz tym, co słycać u mnie albo u innych na tym naszym brudnym podwórzu. Czyż nie tak?

– Czasami wolałbym nie słyszeć. – Jan podrapał się po policzku. Spojrzał w stronę wózka.

Żyd poleciał za nim wzrokiem. Podniósł kapelusz i z powrotem nałożył na głowę.

– Wiem, wiem – rzekł, wskazując na fabrykę Poznańskiego. – Stracił pan robotę i teraz musisz z tym mechanizmem, furą, pojazdem na dwóch kołach męczyć się codziennie, pachać pod górę. Ja panu współczuję.

– Nie narzekam, coś trzeba robić.

– Aj waj. Każda robota jest fajna, gdy ją wskaże Bóg.

– A co ma Bóg do tego?

– A jakże. Gdybym się sprzeciwił i robił coś, czego on nie chce – Żyd złożył dłonie i skierował je ku górze – to pewno by się na mnie pogniewał...

Piernik spoglądał w niebo.

– Bóg kazał Abramowi buty naprawiać?

– Tak, kazał być szewcem... – Mężczyzna opuścił głowę, zamyślił się, a potem spojrział na Jana. – Ten sam Bóg powiedział, że oni nas będą mieć za nic. Każdy to wie, a pan nie?

Jan zmarszczył czoło. Nic nie odpowiedział.

– Ale nie mówmy o tym. – Piernik przysunął się do Olszera i wyszeptał mu prawie do ucha: – Ja to wiem, coś mi mówi, że ten pana wózek to tylko chwilowo.

– Chwilowo?

– No pewnie. – Żyd odwrócił się w stronę fabryki i wskazał na nią palcem. – On niby nasz, ale on nie nasz... Gdyby był nasz, toby szanował takich ludzi jak pan albo jak ja. Ta fabryka zgaśnie jak kaganek.

– Fabryka?

– Tak. On się nazywa Poznański. Przyjdzie taki dzień, że jego też będą lekceważyć.

– Kto?

– Ferajna... mówię panu, zlekceważą go. Może on już o tym wie?

Piernik skinął głową na tytuł w gazecie, uchylił kapelusza, odwrócił się i podreptał spieszny krok w kierunku swojego warsztatu na ulicy Ogrodowej, w którym naprawiał obuwie.

Jan spojrzął za nim, a potem ponownie na pierwszą stronę „Kurjera Łódzkiego”.

– Ferajna? – szepnął prawie bezgłośnie i pomyślał o tym, co się wydarzyło w jego życiu. Myślał, że dawno temu był człowiekiem pełnym radości i wiary, człowiekiem z marzeniami, snującym wyobrażenia o lepszym życiu. Ale im bardziej wchodził w to życie, tym bieda stawała się coraz bardziej widoczna, aż do dnia, kiedy całkiem pograżył się w cierpieniu i rozpacz, a to, co kiedyś utrzymało go na żywotnym kursie, było piękne, radosne i święte, cała ta wiara w przyszłość i wyznaczone cele, wszystko to runęło i rozwiało się niczym puch. Optymizmowi, który posiadał w młodości, wyraźnie zaczęło brakować tlenu, aż przyszedł taki dzień, kiedy całkiem nie miał już czym oddychać. Śmierć przez uduszenie zapewne musiała być ciężka, ale czy warto podtrzymywać maskę z tlenem w sytuacji bez wyjścia? Nosił w sobie obraz życia, które miało go doprowadzić stopniowo do lepszego świata. Jednak doprowadziło go ono do nędzy i bezsensownego starzenia się w zatęchłej izbie z chorą żoną i dwójką prawie dorosłych już synów w kamienicy przy Ogrodowej 36. Ta nędza przybrała obraz bardzo materialny i moralny, nawet duchowy, zniechęcając do wszystkiego.

Od kilku dni prawie w ogóle nie wychodził z domu, siedział godzinami w ciasnej komórce przysposobionej na warsztat zajmujący się naprawą domowych urządzeń, bo znał się na mechanice. Nie tęsknił za ludźmi, nie chciał tracić czasu na czcze gadania. Chłopcy mężczyźni, a on wciąż tkwił w miejscu. Jadwiga przestała się uśmiechać, bo zżerały ją choroba i brak stałej pracy. Jej wrodzony optymizm przybladł i zamienił się w jakiś nieokreślony zamiennik udręki z powodu reumatyzmu, który powykręcał jej zgrabne niegdyś dłonie i wił się niczym żmija po jej ciele. Czasami ból był nie do zniesienia, ale co mogła poradzić? Obrazić się na fabrykę i na wilgoć, jaka tam zalegała, to prawie tak, jakby pluć w twarz własnej matce. Choć skurczone i powykrzywiane palce dłoni nie były już w stanie dźwigać zwojów materiałów, które należało najpierw rozwinąć, a potem rozłożyć równomiernie w kadziach z farbą, to jednak miłość do fabryki pozostała. Nogi też nie dawały rady. Od dnia, kiedy uniosła głowę i po raz ostatni spojrzała w kierunku fabrycznego zegara nad bramą, zaczęła całkiem podupadać na zdrowiu.

Stoisko na rynku przy ulicy Zielonej przestawało przynosić dochody. Niektóre przedmioty, jak choćby porcelana z Ćmielowa z widokami wiejskich krajobrazów lub motywami z Biblii na talerzach, filizankach, dzbankach, które do tej pory sprzedawały się bardzo dobrze, przestały nagle wzbudzać zainteresowanie. Co więcej, również motywy z łabędziami lub gałęziami śliwy nie cieszyły się popularnością. Owszem, porcelana z Wołynia schodziła szybko, ale trudną ją było pozyskać. Oboje z Janem szukali przyczyn takiego stanu rzeczy. Zauważyli, że w ludzi wstąpił jakiś dziwny strach; sklepy

i stoiska na rynku ugięły się od towarów, ale klienci kręcili się między stoiskami z jakąś dziwną martwością na twarzach. Po-chylali głowy i zręcznie omijali kramy wypełnione kapustą, kar-toflami, cebulą, jabłkami, przechodzili z obojętnością obok na-chalnych chłopów z Konstantynowa stojących przy swoich fur-mankach, obok cwaniaków z Polesia i Bałut wciskających kit, spacerowali między Żydami oferującymi materiały na ubrania, buty i sprzęt gospodarstwa domowego, między sprzedawcami zanoszącymi wołania: *Kielbasa, leberwurst szmekł gut, Fasulija, Unterkoszulka, Cymes vajn, Cymes bajgl, Cymes czulent* i zamiast kupować, wciąż tylko pytali, ile co kosztuje.

– Co ciekawego ma pan dziś do sprzedania, panie Olszer? – zapytał z daleka syn aptekarza Molsa, Szymon.

Młodzieniec ubrany w długą luźną marynarkę w prążki w kolorze granatowym, w okularach i kaszkiecie na głowie przystanął z uśmiechem na twarzy obok Jana i zajrzał do wnętrza dwukołowego wózka. Cmoknął z zachwytu.

– Porcelana. Gdzie pan wynajdujesz te wszystkie talerzyki, salaterki, figurki? Kruchy towar. Można z tego wyżyć?

Jan odwzajemnił uśmiech.

– Gdyby tak nie było...

– No tak. – Szymon machnął dłonią. – Prosiłem pana syna, żeby napisał mi wreszcie to pismo do magistratu w sprawie ży-dowskich dzieci... Napisał?

Jan rozłożył ręce.

– Nie moje sprawy, jak obiecał, to się wywiąże.

– Oby! Tadeusz jest zdolny, nikt nie potrafi lepiej.

– Pan też potrafi pisać.

– Czytał pan?

– Tak, czytałem pana artykuł o tych dzieciach.

Szymon Mols rozłożył ręce.

– Smutny ich los... nikogo nie obchodzą – powiedział zrezygnowanym głosem.

– A kogo mają obchodzić? – rzucił beznamiętnie Jan.

– No, właśnie! Magistrat ma to w dupie! Na Starym Mieście aż huczy od plotek, że władze miasta całkiem zaniedbują Żydów!

– Zaniedbują? Niby w czym?

– Hm, jak to panu powiedzieć... Tylko Piotrkowska ich interesuje, dalej to już nic. Żeby obcy gadali, że takiej ulicy nie ma w całej Europie.

– Bo nie ma.

– Panie Janie, od Piotrkowskiej do Wolborskiej niecałe pół kilometra i co? Na ściekach płynie ta nasza Łódź. Żydów nie stać na szkoły dla dzieci, te niewinne istoty włóczą się całymi dniami po ulicach. Co z nich wyrosnie? Aż przykro patrzeć.

– Na Ogrodowej też mieszkają Żydzi i jakoś nie narzekają.

– To co innego. Obok Żydów mieszkają Polacy, Niemcy. Nawet jeden Anglik. Ludzie sobie pomagają.

– A tam nie?

– Tam nie! Oni w tej starej dzielnicy żyją jak w obozie jakimś. Aż przykro patrzeć!

Jan odsunął stopą kamień spod koła wózka. Pchnął go lekko do przodu.

– Ja na Stare Miasto nie chodzę. Niby po co? – rzekł niezbyt głośno. – Czasami po śledzie. Dobre mają.

– Śledzie, śledzie – powtórzył lekceważąco Szymon i ruszył w górę ulicy, maszerując obok Jana. – Te śledzie to całe ich życie, ale oprócz śledzi są tam tysiące innych problemów.

– Może i tak, ale każdy ma problemy, panie Mols.

Szymon spojrział na Jana krzywym spojrzeniem, naciągnął mocniej czapkę na czoło, przyspieszył kroku, wyprzedził go i skręcił w ulicę Gdańską.

Miejski rynek przy ulicy Zielonej zawsze tętnił życiem. Szczególnie w dzień targowy, kiedy do Łodzi od strony Konstantynowa, Bałut, a także Śródmieścia ściągali kupcy z towarami. Na straganach można było znaleźć dosłownie wszystko: od marynowanych śledzi, czosnkowych kielbasek i chleba z cebulą przez świeże owoce i warzywa, różne gatunki i rodzaje mięs, przetwory aż do odzieży i rozmaitych drobiazgów z różnych dziedzin. Cały ten melanz towarów roznosił swoje rozliczne zapachy na okoliczne kamienice, bo zabudowa kwartału ulic Zielonej, Żeromskiego, Gdańskiej, 6 Sierpnia była zwarta, wręcz ciasna. Można powiedzieć, że mieszkańcy okolicznych domów żyli rynkiem, a rynek żył nimi.

Różnorodność temperamentów i postaw ludzi w tym labiryncie straganów, stoisk i sklepów Zielonego Rynku przypominała dobrze zorganizowane mrowisko. Brodaci Żydzi z pejsami w kapeluszach podbitych futrem i ałłasowych chałatach, modnie ubrani panowie w żółtych butach z ogolonym zarostem, młodzieniaszkowie w słomkowych kapeluszach na głowie i papierosach w ustach, dżentelmeni w pumpach i skarpetach przypiętych specjalnymi szelkami z żabkami pod kolanami, rowerzyści, właściciele samochodów, poszukujący części zamiennych do swoich pojazdów, pracownicy urzędów

w filcowych kapeluszach na głowach, uczniowie z okolicznych szkół w zaciągniętych na czoła maciejówkach, młode i starsze damy, niektóre ubrane elegancko, a niektóre całkiem niedbale, gówniary z pobliskiej szkoły w żelowanym obuwiu, prostytutki, geszefciarze, złodzieje, istna mozaika typów ludzkich i charakterów. Zdarzało się, że w okolicy południa pojawiali się chłopcy z okolicznych kamienic. Szukali rozrywki.

– A, idź stąd! – warknął na jednego z nich właściciel straganu z używanym obuwiem. Nie spodobało mu się, kiedy młodzieniec w granatowym mundurku zaczął przymierzać eleganckie półbuty podbite zelówką, wyraźnie za duże na jego szczupłe stopy. Koledzy chłopaka wyginali się od śmiechu i pokazywali go palcami.

– Zawołam policję! – krzyknęła kobieta na stoisku z wielce wysłużonymi książkami, gdy ten sam młodzieniec zaczął czytać na głos fragment bardzo zaczytanego tomu wystawionego na sprzedaż. Wymachiwał przy tym dłonią w wymownym geście i recytował:

– Gdy wszystkie narody mają peryferie, gdzie stykają się z innymi narodami, a więc z innymi kulturami narodowymi, ściśle geograficznie ograniczone, my, Żydzi, rozproszeni po całym świecie, mamy tych peryferii takie mnóstwo, iż właściwie niczego innego nie mamy, jak tylko same peryferie...

– To Berkelhammer, gnoju jeden! – kobieta była najwyraźniej zdenerwowana. Zdjęła z ramion kraciastą chustę i zamachnęła na chłopaka. – Śmiejesz się? Te wasze szkoły... czego was tam uczą?

Rozbawiona zgraja pożegnała kobietę głośnym śmiechem, a uczeń w granatowym mundurku odwrócił się na koniec do kobiety i zawołał:

– Wszędzie stykamy się z jakąś obcą kulturą!

Kobieta pogroziła młodzieniaszkom palcem, otuliła się chustą, a następnie odłożyła przeczytane dzieło znanego w środowisku żydowskim dziennikarza i doktora prawa na zasłużone miejsce, by chwilę później zastygnąć za stertą książek w swojej niewydumanej pozie.

Kradzieże na rynku, na ulicach, na podwórzach kamienic i w mieszkaniach stały się prawdziwym wirusem trawiącym łódzką społeczność. Ofiarami tej prawdziwej epidemii padali wszyscy bez wyjątku: dyrektorzy w fabrykach, urzędnicy, właściciele sklepów, robotnicy, chłopcy, młodzież szkolna. Trzeba było mieć oczy i uszy otwarte. Drobnica wyrywała kobietom torebki na ulicach, kradła z wozów kury, świnie i ziemniaki, ze straganów ginęły posrebrzane platery, garnki i talerze, koła od rowerów, szprychy i narzędzia, towar, którego nie zdołali upilnować nieuważni handlarze. Bardziej wyrafinowani złodzieje uczynili ze swojego zawodu prawdziwy biznes. Słyszało się o prowincjonalnych kasiarzach, którzy nie tyle rozpruwali sejfy i kasy specjalistycznymi narzędziami, ile je po prostu rozbijali... siekierą. Ci ostatni również tworzyli atmosferę rynku, głównie jako amatorzy nieswojej własności.

Można powiedzieć, że „Zielony” stał się przekrojem łódzkiej społeczności – mniejszości narodowych, biednych i bogatych, wykształconych i analfabetów, uczciwych i oszustów, a więc tych wszystkich, których można było nazwać łódzkim

człowiekiem, typową postacią o nieuchwytniej mentalności, żyjącą w granicach przemysłowego miasta.

Bez wątpienia należał do nich Jan Olszer, któremu pewnego dnia udało się pozyskać kilka sztuk dobrego towaru ze składu porcelany Karola Klingsporna z ulicy Benedykta 76. Zagraniczna ceramika sprowadzana przez znanego łódzkiego przedsiębiorcę odznaczała się dobrą jakością, a przede wszystkim podobiała się mieszkańcom Łodzi. Klingsporn zaopatrywał swoje magazyny porcelaną przywożoną głównie z Niemiec, Francji i Anglii. Filizanki i talerzyki z porcelany kostnej nazywanej popularnie „Bone China” z wytwórni Coplenad lub Minton w Anglii cieszyły się największym powodzeniem. Taka porcelana miała swoją cenę. Niestety, ostatni transport z Francji nie należał do najszcześliwszych. Przepiękne orientalne patery, talerzyki, dzbanki i filizanki bogato zdobione motywami owadów uskrzydłonych i ornamentem wykonanym z emalii dotarły na miejsce przeznaczenia w większości z utraconymi brzegami lub całkiem strzaskane. Klingsporn zmartwił się, ale zbytnio nie rozpaczął. Transport był ubezpieczony. Nic więc dziwnego, że zdecydował o likwidacji feralnego ładunku, tym bardziej że nie posiadał dużego magazynu, a skrzynie z francuską porcelaną miały nadejść lada dzień.

– Mam zgodę! – zawołała radośnie od drzwi mieszkania Olszerów na ulicy Ogrodowej Teofila, kuzynka Jadwigi, która pracowała w magazynie firmy Klingsporna. Kobieta wiedziała, że Olszerowie potrzebują pomocy. – Możemy przejrzeć skrzynie!

Wytworna taca ceramiczna z wytwórni Mason's, ciekawy świecznik Brownfield oraz solniczka Minton prezentowały się nie mniej okazale od kilku filizanek z emaliowanym

ornamentem. Pośród angielskiej ceramiki stołowej znalazło się też kilka porcelanowych figurek z Danii, Szwecji i Niemiec. Jedna z nich, przedstawiająca dorosłą kobietę w czerwonej sukni ze zdecydowanymi geometrycznymi cięciami i dużym dekoltem, była szczególnej urody, choć miała odtrącone obie dłonie. Figurkę wyprodukowała duńska firma Royal Copenhagen słynąca z produkcji porcelanowych zabawek. Mimo uszkodzenia figurka wyglądała naprawdę uroczo i oboje, Jan i Teofila, byli przekonani, że uda się ją sprzedać w dobrej cenie. Zapakowali wybraną porcelanę do wnętrza dwukołowego wózka, a potem, uważając na nierównościach chodnika, popchnęli wózek w kierunku kamienicy na Ogrodowej.

Jan obudził się następnego dnia skoro świt i ruszył z porcelaną Klingsporna zapakowaną do wózka w kierunku ulicy Gdańskiej. Rozmowa z Szymonem Molsem najwyraźniej wprawiła go w zakłopotanie.

– Teraz każdy ma kłopoty, panie Mols! – wyrzęził ze złością i spojrzał na czerwony budynek fabryki Poznańskiego, rozłożony swoim wypasionym cielskiem wzdłuż ulicy Ogrodowej. Mimo wczesnej pory fabryka buchała z okien wrzaskliwą wrzawą podobną do ryczenia stada głodnych krów, wywołując w nim wspomnienia.

– Wróć tu? – zapytał sam siebie i jakby na przekór temu, czego był pewien, domagał się wyjaśnienia myśli, które zaczęły krążyć mu w głowie. – Powroty, upajanie się wspomnieniami, kłamstwa, nadzieja – szeptał, stojąc naprzeciw świata, który od pewnego czasu nie należał już do niego. „Możliwe – pomyślał – że któregoś dnia przyjdzie mi stanąć w obliczu takiej realności, że nauczę się poznawać samego siebie, bądź dzięki

temu, że wpadnie mi do ręki jedna z takich małych przypadkowych propozycji lub poznam któregoś z tych nieśmiertelnych, którzy spojrzą mi w twarz i powiedzą: *Tak, daję ci szansę!*

Wiedział, że nigdy nie posiadał umiejętności przeanalizowania własnej wewnętrznej biografii, tych tysięcy dni, które ukształtowały mu charakter i zapędziły do konkretnych miejsc na Ziemi. Owszem, domyślał się swego miejsca w twierdzy świata, przeczuwał, co może go spotkać, ale bardzo rzadko zagłębiał się w wewnętrzną oś, wokół której zorganizowana była jego struktura psychiczna. Być może była ona klarowna i nieskomplikowana, ale coraz częściej dochodził do wniosku, że to zasadnicze złudzenie, fikcja. Dostrzegał też w swoim wnętrzu dwa różne horyzonty, dwa różne charaktery. Wszelkie zrozumienie tych dwóch wewnętrznych światów wymagało środków pomocniczych, teorii, których nie znał, kłamstw, którym nie potrafił sprostać. Jaki więc był? Stał naprzeciw budynku, w którym przez wiele lat toczył boje ze swoimi słabościami, porannym wstawaniem, którego nie znosił, z ustawicznym hałasem, kurzem i wilgocią, z powtarzającym się ruchem naginania pleców nad maszyną, ciągłym schyłaniem, wstawaniem, napinaniem mięśni, zaciąganiem na uigłone pierścienie krawędzi tkanin, wymiataniem spod maszyny kłębow kurzu, dbaniem o czystość czujników osnowy, wymianą zużytych części w maszynie, można powiedzieć – z całym tym fabrycznym rejwachem, stał się jednocześnie jego częścią, maleńkim elementem, drobną śrubką potężnego mechanizmu.

– Czy chciałbym wrócić? – zapytał głośniejsz i znów siebie. Kiwnął przecząco głową, jakby domagał się wyjaśnienia wewnętrznych sprzeczności, jakie w sobie znajdował i jakie wydawały mu się źródłem jego bezustannie dotkliwych cierpień. Te cierpienia oznajmiały, że w jego wnętrzu kołaczą się jakieś inne zasięgi i granice odnajdujące w nim „człowieka”, to znaczy zbiór myśli, uczuć i oswojonej, poszukującej szlachetniejszego, bardziej wzniosłego charakteru natury, od czasu biorącej górę nad ponurym światem surowej osobowości. Właśnie w tym samym momencie, gdy zaczął o tym myśleć, owa druga natura zaczęła dawać o sobie znać i prowadzić na wyżyny wyobraźni. Poczuł jakieś dziwne rozluźnienie i swobodę, a przed oczami widział jedynie gwiazdzone niebo i księżyc w przedświcie. Ów poranny widok nieba tak bardzo nim zawładnął, że całkiem się pogubił i zamiast skrócić wózek w ulicę Gdańską, ruszył wprost do fabryki razem z gęstym tłumem robotników podążających w pośpiechu do pracy.

W tym samym momencie rozległ się wrzask fabrycznej syreny. Tłum robotników przyspieszył, oblał Jana swoją nieprzeniknioną gęstą masą składającą się z ludzi z opuszczonymi głowami, świadomych celu, jednakże zatrwożonych, niepewnych jutra, osamotnionych w swoim dzikim pędzie. Jan zawahał się, przez moment zapragnął wtopienia się w tłum, opuszczenia głowy, przyspieszenia kroku, a potem zaprezentowania majstrowi gotowości. Ileż to razy stawał w pełnym rynsztunku u wrót swojego fabrycznego szczęścia, żeby przez jakąś szparkę wtargnąć do świata marzeń i zadomowić się w nim choćby na kilka minut. W jednej chwili zapomniał,

dokąd zmierzał, odwrócił głowę, rozluźnił uścisk uchwytu wózka, który najwyraźniej mu przeszkadzał.

– Człowieku, uważaj! – zawołał wściekle mężczyzna z tłumu, spychając Jana na krawężnik. Jan stracił równowagę, nawet nie zdążył zajrzeć obcemu w twarz. Upadł, a wraz z nim runął na ziemię skarb odnaleziony w skrzyniach składu porcelany Klingsporna. Ozdobione na niebiesko talerzyki z wytwórni Coplenad przeturlały się najpierw przez płyty chodnika, a potem po kocich łbach ulicy Gdańskiej. Jan wyciągnął do nich dłonie w geście rozpacz, ale nie mógł już nic zrobić.

Tłum przetoczył się, zagłuszył brzdęk tłuczonych naczyń, zdeptał skorupy, oddalił się i rozmył w poświacie fabrycznej bramy, pozostawiając Jana leżącego niezgrabnie na opustoszałej ulicy. Zaległa cisza.

– Wstań! – rzekł jakiś człowiek z marynarce i kapeluszu. Podał mu dłoń, pomógł wstać. – Nie poznajesz mnie?

– Kazik?

– Stryj? Nic ci się nie stało?

Jan podniósł z ziemi swój zielony kaszkiet, który sturlał się razem z porcelaną na bruk, otrzepał go o kolano i wcisnął mocno na głowę. Bratanek z drwiącym uśmiechem wskazał na rozbite talerzyki.

– Co z tym szkłem? – Skinął na resztki rozbitej porcelany leżącej na chodniku, mieniające się w świetle latarni.

– Szkłem? – powtórzył ledwo słyszalnym głosem Jan. – To nie szkło, to angielska porcelana.

– Angielska? Porcelana, wózek, hm... Wygląda stryj jak jakiś szajgec żydowski...

– Już gdzieś to słyszałem!

– Nie ode mnie. Myślałem, że poradzi sobie... Ciągłe bez roboty? – Kazimierz poklepał Jana po ramieniu, zajrzał mu w oczy i dodał: – Nie ma się co przejmować! Mnie też wywalili z fabryki. Pracuję teraz w kinie.

– W kinie? – zapytał Jan ze zdziwieniem, pochylił się i zaczął zbierać porcelanę z ulicy.

– Tak, na Zawadzkiej. Kiedyś była tam fabryka.

– Wiem, spaliła się.

– No tak, spaliła...

– I jak? Lepiej niż w Poznańskim?

Kazimierz zdjął kapelusz z głowy, powachlował twarz, spojrzął na fabrykę z niechęcią.

– Nie spodobałem się Lamprechtowi – rzekł z wyrzutem w głosie. – Aktywność społeczna niepodległych Polaków nie na rękę właścicielom.

– Niepodległy Polak! – Jan podniósł się z ziemi i obrzucił Kazimierza przelotnym spojrzeniem. Powrzucał do wózka resztki naczyń, następnie wyprostował się, poprawił kaszkiet na czole i zapytał: – Któż to taki ten niepodległy Polak? Wyjaśnisz?

Młodzieniec pokręcił głową.

– Wyjaśnić? – Zaczął się zastanawiać, a później energicznie rzekł: – To taki ktoś, kto nie ma nad sobą pana, jest wolny i robi to, co mu nakazuje sumienie, a nie majstry z nahajem w rękę. Niepodległy Polak nie ugina pleców, nie błaga o jałmużnę, potrafi iskrami buntu ciskać po wszystkich rozłogach!

Jan roześmiał się.

– Śmieszne? – Młodzieniec nie krył zdumienia.

– Kazik, gadasz jak poeta. Nic się nie zmieniles! – Jan machnął ręką i podszedł do wózka.

Kazimierz natychmiast przywarł do ucha stryja i wypalił:

– Wolny Polak to także taki, którego życie mieści się w czymś większym niż wózek na dwóch kołach.

Jan odwrócił się i chwycił bratanka za klapę marynarki. Pociągnął go do siebie. Zajrzał w oczy.

– Wiesz co, mam to gdzieś! – wyrzęził z goryczą w głosie. – Wolę pchać wózek, niż leżeć w rynsztoku i zdychać z głodu. Ta twoja ideologia wpędza ludzi w marzenia, których nie są w stanie spełnić. Zaciemniasz ludziom umysły, rozbudzasz wyobraźnię, okłamujesz!

– Okłamuję?

– I to jak! – Jan rozluźnił uścisk. – Nasłuchałem się ... na szczęście nie posłuchałem. Klasa robotnicza, płatne niewolnictwo, emancypacja, rewolucja. A później krew na ulicach. Pamiętam doskonale!

Kazimierz otrzepał marynarkę. Odsunął się od Jana na dwa kroki.

– Widzę, że stryj znalazł się w potrzasku – rzucił z ironią.

Jan opuścił głowę. Podszedł do wózka.

Po chwili Kazimierz odezwał się, jak gdyby nic się nie stało.

– W kinie jest o wiele ciekawiej niż w tych zamkniętych czerwonych murach. To więzienie! – Wskazał ręką na fabrykę. – Przynajmniej wiem, jak jest na świecie.

– I jak jest?

Kazimierz nic nie odpowiedział.

– To największe kino w Łodzi – rzucił beznamiętnie. – Przyjdź, zabierz stryjenkę.

Młodzieniec zastanowił się, po czym sięgnął do kieszeni.

– Miałem oddać chłopakom z farbiarni... Organizujemy wielki strajk w Łodzi. Trzeba zjednoczyć siły, bo kryzys w przemyśle włókienniczym okrutny. Blisko połowa robotników pracuje tylko trzy dni w tygodniu, a żydowscy i niemieccy fabrykanci wciąż obniżają zarobki. – Wyciągnął dłoń z biletami w kierunku Jana. – W niedzielę premiera. Płacą mi za wypełnianie widowni. Na pierwszym seansie jest najmniej ludzi.

Jan odebrał bilety, schował do kieszeni marynarki. Bratanek uśmiechnął się, spojrzął na zegarek, a potem wskazał na wózek.

– Nie pomogę stryjkowi z tym szkłem... o, pardon, z tą porcelaną! Mam kilka ważnych spraw do załatwienia. Zobaczmy się w święta. Do widzenia! – Pomachał dłonią na pożegnanie i popędził w stronę ulicy Zachodniej.

Sytuacja na ulicy Gdańskiej stała się klarowna. Człowiek z wózkiem na tle olbrzymiej fabryki za plecami i niekończącej się perspektywy ulicy Gdańskiej przed sobą. Z lewej i prawej strony ogołoczone z tynków kamienice z mieszkaniami dla robotników fabryki. Ryk fabrycznych syren wypłoszył z mieszkań żyjących tutaj ludzi, rozbudził miasto, przeganiając mieszkańców z jednego końca w drugi. Zgiełk trwał zwykle parę minut, a potem następowała cisza, jak teraz, w momencie, kiedy człowiek z wózkiem stał na środku ulicy, przygnieciony pustką i osamotnieniem. Jan zdał sobie sprawę, że to on jest teraz najważniejszym elementem okraszanej poranną marcową mgłą ulicy, przez którą przenikały nieśmiało pierwsze promienie słońca. Rzucił okiem na porozrzucane na ziemi fragmenty niebieskich porcelanowych talerzyków, podniósł do góry dłonie i zaczął tańczyć, bo co mu zostało?

Najpierw w lewo, potem w prawo, z kaszkietem w dłoniach, w rytm nieznannej pieśni... W prawo i lewo, w prawo i lewo, w prawo... Tańcząc, coraz bardziej przekonywał się, że sprawia mu to przyjemność, że z punktu widzenia swej próżni, swej obcości i nadzwyczajnego instynktu przetrwania po prostu podziwiał i kochał ten świat, świat, o którym ciągle wspominał, świat mieszczański, trwały, niewzruszony i pewny, do którego zmierzał, a nie mógł osiągnąć celu, bo nie prowadziła do niego żadna z jego dróg... W prawo i lewo, w prawo i lewo... Siup, siup! Od wirowania zakręciło mu się w głowie.

– Hej, złodziejaszku! Nie wstyd ci? – Przez okno na parterze wyjrzała kobieta. Nie była to dama z willi, nie była to nawet dama z parterowych domków na ulicy Lutomierskiej. Jej krzywo przycięte, jasnopopielate włosy na głowie wskazywały, że nawet nie była uzależniona od lustra w garderobie (jeśli je w ogóle posiadała). – Pozbieraj te graty i już stąd, bo wezwę granatowych!

Jan otrzeźwiał. Schylił się i zaczął zbierać z ulicy pozostałą część rozrzuconej porcelany. Wrzucał ją do wózka i tylko kątem oka zauważył, że wytworna taca ceramiczna z wytwórni Mason's, a także świecznik Brownfielda nie poniosły żadnej szkody. Nie poniosła go również wytworna kobieta ze szklawionej porcelany w obcisłej sukni, figurka sygnowana znakiem Royal Copenhagen. Z rozjaśniona twarzą ruszył więc w kierunku rynku.

Na „Zielonym” gwar ludzki wypełniał już wszystkie zaułki i dotarł nawet do miejsca, które zawsze na niego czekało. Zajął je ktoś inny. Odnalazł jednak skrawek wolnej przestrzeni pomiędzy straganami, przykucnął, rozłożył gazety

na ziemi, a na nich wszystko to, czym mógł się tego dnia pochwalić. Sam usiadł na drewnianym taborecie i zaczął wypatrywać. Angielska porcelana lśniła w słońcu niczym perły na bukłaku z kozłej skóry, mieniając się pośród straganów uginających się od ciężaru cebuli, czosnku, czerwonych buraków, kapusty, fasoli, jabłek i kiszonych ogórków, od belek materiałów nadających się do uszycia garniturów, sukienek, płaszczy, od ciężaru metalowych garnków, patelni, różnego rodzaju kiełbas, kawałków surowego mięsa, wiklinowych koszy wypełnionych setkami rupieci wywleczonych z domowych komórek i strychów.

Najbardziej okazałe w promieniach słonecznego poranka prezentowała się porcelanowa figurka z uszkodzonymi dłońmi i w czerwonej sukni, która podkreślała szczupłą i niezwykle zgrabną sylwetkę zastygłej w tańczącej pozie kobiety. Wszystkie te porcelanowe specjały zupełnie nie pasowały do otoczenia. Obok Jana, z kilkoma wyjątkami, usadowiło się na rynku całe sadownictwo i rolnictwo ziemi łódzkiej. Bogaty i apetyczny arsenał zielenizny z Lutomierska, Konstantynowa, Ozorkowa, Aleksandrowa, Dobronia, Łasku, a nawet z Poddębic i Piotrkowa. Rolnicy prześcigali się w eksponowaniu towarów, bo przecież już wkrótce miało się rozpocząć największe chrześcijańskie święto, Wielkanoc.

Wiejskie kobiety, owinięte w ciepłe chusty w kratę, choć nie było zimno, wystawiały swoje młode, ale ogorzone od słońca i wiatru twarze w stronę potencjalnych klientów, pragnąc ich przyciągnąć swoją świeżą urodą. Owszem, tutaj na rynku wieśniaczki umizgiwały się jak mogły, jednak można w nich było wyczuć jakąś odpychającą wyniosłość

i nieustępliwość, szczególnie wtedy, gdy doszło do ubijania targu, czego nie dało się powiedzieć o Żydach. Ci ostatni okazywali się niejednokrotnie bardziej wyrozumiali, klienci mogli dokonywać zakupów „na kredyt”, co w sytuacji łódzkiego bezrobocia czyniło zasadniczą różnicę. Jan znał wielu żydowskich handlarzy z „Zielonego”. Jednego z nich, starego Jakuba Zajdenfelda ze sklepiku ze starociami, znał bardzo dobrze. To on nieraz pożyczał mu pieniądze na procent i nie dopominał się natychmiastowego zwrotu, wiedząc, że wcześniej lub później odzyska pożyczoną gotówkę z naddatkiem.

W sklepie Jakuba znajdował się przedmiot, który od dawna rozpałał umysł Jana, ale nie stać go było na zakup. Fornirowane skrzypce z naklejką „Antonio Stradivari” stały się jego obsesją i za każdym razem, ilekroć przebywał na rynku, zaglądał do ciasnego sklepiku Żyda i upewniał się, czy skrzypce zmieniły właściciela. Instrument leżał na półce w samym kącie sklepu i jedynym klientem, który o nie pytał, był Jan. Widocznie stary Jakub zapałał do mężczyzny sympatią, bo pewnego dnia zapragnął udzielić mu szczerzej rady:

– Wiesz, Polak jest strasznie zachłanny na pieniądź! – to mówiąc, spojrzął na plik banknotów trzymany we własnej dłoni, o które prosił Jan. Mężczyźnie zrobiło się nieswojo, ale Żyd tego nie zauważył lub udawał, że nie zauważył. – On nie umie prowadzić interesu. Wyznacza cenę za swój towar tak wysoko, że to nie idzie. Dajmy na to chleb. Mój brat, który handluje chlebem, wyznacza pięć groszy za świeży bochenek, a po południu czerstwy kosztuje u niego tylko dwa grosze. U Polaka ten sam chleb przed i po południu kosztuje tyle samo. Co najważniejsze, Żyd daje ludziom borg, czyli

kredyt, a Polacy w ogóle tego nie uznają. Rozumiesz? Żyd jest mądry, bo wie o jednej rzeczy, jak da borg, to towar mu pójdzie, a gospodyni, a może i gospodarz, będą zadowoleni. Wcześniej czy później ta gospodyni lub ten gospodarz jakąś pracę znajdzie i przyjdzie do Żyda, żeby oddać dług, bo wie, że taka sytuacja może się powtórzyć i jeśli nie odda długu, to już więcej razy nie kupi chleba. I umrze. A Polak? Przepędził tę gospodynię, a może i gospodarza, za drzwi swojego sklepu, a nie da.

Jan wiele razy korzystał z mądrych rad starego Żyda. Niektórzy nawet dziwili się, że zwykły robotnik fabryki potrafił tak szybko przeistoczyć się w zaradnego przedsiębiorcę i nie cierpiał biedy, która od kilku lat rozlewała się w Łodzi szerokim strumieniem po dzielnicach miasta. Gazety łódzkie rozpiswały się o nędzy robotniczej, o wprost nieludzkich warunkach mieszkaniowych dla sporej części łódzkiej ludności. Rozpiswały się o pewnym dziwnym osiedlu zbudowanym za murami cmentarza żydowskiego na Dołach, w pobliżu szosy pomiędzy Łodzią a Warszawą. Na poboczu wzgórze za cmentarzem bezdomni wygrzebali w ziemi głębokie dziury i w nich mieszkali.

– To świństwo! Wielkie świństwo! – Jakub wykazywał szczerze rozgoryczenie. Ścisnął w dłoniach żydowską gazetę „Łódzier Togblatu” i czytał na głos:

– Do murów cmentarnych tulą się niejako gniazda jaskółcze, sadyby ludzkie (...). Jaskinie pierwotnego człowieka, w nocy cuchnące ścierwem bydlęcym, gniazda, które w takich warunkach opuściłby zwierz leśny i bestia drapieżna, zamieszkałi ludzie (...). I siedzą ci ludzie w ciemnych, zatęchłych

i wilgotnych norach, w lepiankach przykrytych łożą, chwastem, darniną lub śmieciem. To nie szmonces! To specjał, to prawdziwa plajta tego miasta. Gdzie jest rada miejska, gdzie są ci wszyscy, co tu rządzą?

Tydzień przed chrześcijańskim świętem ruch na rynku był ogromny, o wiele większy niż w inne dni. W powietrzu roznosiły się okrzyki w różnych językach zachęcające do zakupów. Słysząc było po polsku *najlepsze kielbasy z Ozorkowa*, po żydowsku *Obyś tak spuchł na trzy tygodnie jak du vest nisht zen*, po rosyjsku *luchshiy czaj iz Rossii*, a nawet po niemiecku *Krawatten, Hüte, Hosen*. Język niemiecki, oprócz miejsc w pobliżu straganów z odzieżą, brzmiał równie donośnie przy stoiskach z wytrawnymi serami wytwarzanymi z mleka owczego, a także serami typu Camembert z mleka koziego i krowiego.

Na wprost Jana umieścił swój stragan młody Salomon Pinkus, syn Stanisława, producenta wyrobów wełnianych z ulicy Spacerowej. Podobnie jak ojciec, młody Pinkus potrafił zachwalać swój towar. Wiele osób na rynku, w tym i Jan, podziwiała zaradność Salomona i jego wyjątkową gładkość w nawiązywaniu kontaktów z klientami. Tak było również i tego dnia. Elegancko ubrana kobieta stanęła przy stoisku z materiałami na pościel, franki i zasłony i zaczęła poszukiwania. Nie znalazła tego, czego szukała. Zamierzała odejść. W tym samym momencie zapobiegliwy Żyd zasłonił jej drogę i zwrócił się do niej z wyuczoną uprzejmością:

– Co jest, nie ma! Nie ma, ale będzie! Pani siada, o proszę, tu jest krzesło, i chwilę zaczeka. Jakiego materiału pani poszukuje? Atlas, satyna, jasny turkus lazurowy na zasłony?

Kobieta odpowiedziała, jakiego materiału poszukuje. Salomon splótl dłonie i uniósł je w stronę czarnego kapelusza na głowie, spod którego wypływały poskręcane loki jasnych włosów.

– Czego nie ma, zaraz będzie – rzekł entuzjastycznie, po czym podszedł do konkurenta sprzedającego podobny towar, kupił od niego całą belę poszukiwanego materiału, przyniósł na swoje stoisko i odciał zadowolonej kobiecie tyle metrów, ile chciała. Każdy na rynku wiedział, że na stoisku Salomona wszystko jest i nawet jak nie ma, to będzie. Tak wyglądał żydowski handel.

A Jan? Wszystkie te angielskie i duńskie rarytasy, które przystępował na rynek, ani razu nie zmieniły swojej pierwotnej pozycji, mimo dość późnej godziny. Janowi wydawało się, że to jest śmieszne i przesadne, niezrozumiałe, a przynajmniej fantazyjnie niesprawiedliwe, bo on sam nazywał siebie wytrawnym sprzedawcą i klienci go znali, i zdejmowali przed nim kapelusze. Wiedzieli, że u Olszera towar jest najlepszy, markowy i taki, którego nie można znaleźć gdzie indziej. Jak u Żydów. Dlaczego więc nie tym razem? Przygnębiony zaczął pakować porcelanę do wózka, co zajęło mu kilkanaście minut. Gdy zabierał się już do odejścia, zastąpił mu drogę elegancko ubrany mężczyzna w ciemnym płaszczu i w okularach, w białej koszuli i z muszką pod szyją, z małą walizką w dłoniach i zapytał z niemieckim akcentem:

– Ta porcelana, kobieta w czerwonej sukni? Ma ją pan jeszcze?

Jan spojrzął na nieznajomego z nieukrywanym zdziwieniem.

– Tak, mam – odpowiedział niewyraźnie, po czym podparł wózek taboretą, pochylił się i zaczął przekładać paczki z porcelaną spakowaną w gazety. Minęła chwila, zanim wyciągnął z wnętrza figurkę sygnowaną znakiem fabryki Royal Copenhagen. Podał nieznajomemu. Mężczyzna postawił walizkę na ziemi i z niezwykłą delikatnością uniósł rzeźbę do twarzy. Przyglądał się jej z niezwykłą starannością i z jakimś osobliwym namaszczeniem. Trwało to dość długo.

– Ile? – zapytał jakimś osobliwym głosem.

Jan zmarszczył czoło. Zaczął się zastanawiać. Przez myśl przeszedł mu obraz żydowskiego kupca Salomona i jego klientki. Idąc za jego przykładem, nie odpowiedział wprost, lecz sam zadał pytanie:

– A ile pan da?

Mężczyzna obrzucił Jana uważnym spojrzeniem, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej eleganckiej marynarki. Wyciągnął z niej banknot.

– Może być? – zapytał.

Jan spojrzał na banknot. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pięćdziesiąt złotych? – wyszeptał.

W jego mózgu zawirował cały świat. Z niezręcznością dziecka zaczął miętolić spoconymi palcami guzik przy marynarce, wysłuchując tętna i okrzyków, które się nie pojawiły, zadawał sobie nieopisany i beznadziejny trud rozmowy z samym sobą, a potem zamiast wtargnąć do tego małego, spokojnego i pragmatycznego światka własnego umysłu, ukazał niespodziewanie trwożliwą naturę człowieka na wskroś uczciwego, noszącego w sobie irracjonalne lęki i strachy.

– Proszę pana! Ta figurka nie jest tyle warta.

Nieznajomy uśmiechnął się. Wcisnął Janowi banknot w dłoń, pochylił się nad walizką, otworzył ją, a następnie ułożył delikatnie porcelanową figurkę w jej wnętrzu.

– To prezent dla mojej żony! – odezwał się radośnie, po czym poklepał Jana po ramieniu i posuwistym krokiem oddalił się w kierunku ulicy Bednarskiej.

Jan stał z banknotem w dłoni, wykazując bezradność i zagubienie. Odprowadził nieznajomego wzrokiem. Nawet nie zauważył starego Jakuba, który do niego podszedł i rzekł:

– Kto myśli i kto z myślenia czyni hoypt zakh, czyli główną sprawę, pewno dojdzie w tej dziedzinie daleko, lecz zdarzy się, że pewnego razu zamieni ziemię na wodę i po prostu utonie! Ciesz się, zrobiłeś dobry geszef! Widziałem.

Jan skinął głową, a potem schował banknot do kieszeni.

– Skrzypce wciąż czekają. – Stary Żyd spojrział na Jana tym swoim przenikliwym wzrokiem i wydawało się, że dobrze wie, o czym on teraz myśli. – Wiem, wiem... zanieziesz pieniądze tam, gdzie trzeba. Jestem tego pewien.